

Sławomir Zatwardnicki: do-re-mi-fe!-sol-la-si-do

W każdym z nas siedzi mały heretyk, któremu trudno przychodzi pogodzić to i tamto; jeśli przyjmuje się jedno, czy nie należałoby odrzucić drugiego?



Chrystocentryzm nie może podważać niecentralnych prawd wiary, owszem właśnie ma je ogniskować wokół Chrystusa. Dla wszystkiego starczy miejsca pod wielkim dachem nieba. Pod warunkiem, że jest to właśnie to niebo, z którego posłany Syn Boży, stawszy się człowiekiem, zamieszkał na ziemi, w ten sposób ją afirmując i zarazem relatywizując - pisze Sławomir Zatwardnicki

W każdym z nas siedzi mały heretyk, któremu trudno przychodzi pogodzić to i tamto; jeśli przyjmuje się jedno, czy nie należałoby odrzucić drugiego? – pyta wstając z pozycji siedzącej. Znacznie łatwiej operować alternatywą albo-albo, w świecie po grzechu łączący spójnik „i” nie ma lekko, łatwo i przyjemnie, musi w ascetycznym trudzie dochodzić swego. Nie dla wszystkiego starczy miejsca na małym dachu ziemi.

To ziemskie i skażone grzechem myślenie daje o sobie znać w teologii, która, jak przystało na refleksję prowadzoną przez wierzącego nad tym, co objawione i przyjmowane przez wiarę, winna być od tego akurat wolna. Chyba że teolog ten *czy* tamten (oby nie ten *i* tamten) nie wierzy w odkupienie swego rozumu? Jedną z odsłon tej heterodoksji w teologii jest takie pojmowanie chrystocentryzmu, które staje się chrystomonizmem.

Zgodnie z paradoksem ortodoksyjności, a zarazem ze zdrową logiką prostaczka, muszą być i peryferie, jeśli coś ma być centrum. Dlatego chrystocentryzm nie może podważać niecentralnych prawd wiary, owszem właśnie ma je ogniskować wokół Chrystusa. Dla wszystkiego starczy miejsca pod wielkim dachem nieba. Pod warunkiem, że jest to właśnie to niebo, z którego posłany Syn Boży, stawszy się człowiekiem, zamieszkał na ziemi, w ten sposób ją afirmując *i* (!) zarazem relatywizując.

Jak wielka musiała być pokusa odrzucenia Starego Testamentu, gdy Bóg objawił się w Chrystusie, jeden herezjarcha Marcjon wie. A jednak antechristumowa historia relacji Boga z człowiekiem, jak to dobrze

pojął wczesny Kościół, nie straciła swojego znaczenia. Owszem dopiero w Chrystusie można ją było połączyć w jedną harmonijną całość. Podobnie dzieje stworzenia i zbawienia tworzą, cytując słowa adhortacji Benedykt XVI o Słowie Bożym, symfonię „na wiele głosów, w której wyraża się jedyne Słowo” (*Verbum Domini*).

Zdaniem Mozarta teologii (ho, ho, ho, zgadnij że Ratzinger to), Boski Artysta był wyraził siebie „za pośrednictwem symfonii stworzenia”, w której „w pewnym momencie pojawia się motyw solowy”, a zatem „motyw powierzony pojedynczemu instrumentowi bądź głosowi, który jest tak ważny, że nadaje sens całemu dziełu” (tamże). *Logos* okazuje się, przynajmniej w tej metaforze muzycznej, słowem śpiewanym. Słownym świadectwem tego muzycznego Objawienia jest Pismo Święte, w którym Bóg wypowiada w istocie jedno jedyne Słowo, a w Nim wysławia się cały, choć siłą rzeczy (czyli logiką Wcielenia) czyni to w mnogości ludzkich słów (Hbr 1, 1-3). Dzięki *Logosowi* wszystko otrzymuje właściwy sobie sens w dziejach dzieła zbawienia.

Gdyby szukać jedności ksiąg biblijnych jedynie na poziomie ludzkim, podzieliłoby się los współczesnych egzegetów, pogubionych między pojedynczymi drzewami, niepomyślnych na to, że odnaleźć się można dopiero w lesie. Nie wystarczyłoby nawet poszukiwanie zgodności w centralnych dla Pisma prawdach objawionych. Owszem, jak podkreśliła Papieska Komisja Biblijna w dokumencie *Natchnienie i prawda Pisma świętego*, „współbrzmienie nie ogranicza się do jakiejś generalnej zgodności w niektórych fundamentalnych doktrynach”.

Co w takim razie zdecydowało o powstaniu kanonu? Żywe Słowo, doświadczane przez wierzących, którego tajemnicę celebrowano we wspólnocie Kościoła w czasie liturgii. Dane pismo stawało się „fundamentem wiary nie dlatego, że prezentowało się jako Słowo Boga, ale dlatego, że w tym co mówiło, współbrzmiało ze Słowem i było jasną manifestacją tego Słowa” (tamże). Dlatego potrzeba interpretującemu Pismo relacji ze Słowem oraz wiary, zarówno osobistej jak i wspólnotowej, bo tylko dzięki niej jest on odpowiednio „nastrojony” do rozumienia ksiąg natchnionych, które musi harmonijnie współbrzmieć z wiarą Kościoła (por. *Verbum Domini*).

Wydaje się, że z całością oraz z owym motywem solowym, którym jest Chrystus, może skontaktować sięgającego po Pismo Święte „zmysł wiary”. Jest on według Międzynarodowej Komisji Teologicznej swego rodzaju nadnaturalnym instynktem duchowym, zdolnością wynikającą z namaszczenia Duchem Świętym (por. 1 J 2, 20. 27; J 16, 13), dzięki której reaguje się spontanicznym rozeznaniem tego, co zgodne z Ewangelią i wiarą apostołską („*Sensus fidei*” w *życiu Kościoła*). Prostaczkowy „instynkt” wiary łączyć się winien z wiedzą naukową egzegety („i” zamiast „albo-albo”), a nawet jej dyrygować.

Interpretator uniknie dysharmonii w objaśnianiu ksiąg biblijnych, ponieważ dzięki *sensus fidei* zareaguje na nie „niczym meloman, usłyszawszy fałszywe nuty w wykonywanym utworze muzycznym” (tamże). Stanie się więc dzięki wierze artystą zdolnym do usłyszenia symfonii *Logosu*. Ten zaś, kto Pismo Święte czytałby nie w Duchu Świętym i bez posługiwania się batutą chrystologiczną, podobny byłby do tego, „kto próbowałby czytać partyturę muzyczną w kluczu «fa» po

tym, jak kompozytor wprowadził do fragmentu klucz «sol»: każda pojedyncza nuta wydawałaby wówczas fałszywy dźwięk” (Raniero Cantalamessa).

Fe!

Sławomir Zatwardnicki